

WŁADYSŁAW MARKIEWICZ  
Warszawa

## DZIEŃ POWSZEDNI WIĘZŃIA W KZ MAUTHAUSEN-GUSEN\*

Do spowodowanych przez II Wojnę Światową przewartościowań zachowań i postaw całych społeczeństw przyczyniły się niewątpliwie stworzone wprawdzie jeszcze przed wybuchem wojny, ale w trakcie jej trwania ogromnie rozbudowane i uformowane w pewien system, niemieckie obozy koncentracyjne. Na temat tych obozów powstała ogromna literatura naukowa i autobiograficzna, a także liczne, w tym także wybitne dzieła artystyczne.

Do obozów szczególnie srogich zaliczał się utworzony tuż po *Anschlussie* Austrii w 1938 r., największy na tym obszarze obóz koncentracyjny w Mauthausen następnie rozbudowywany, w szczególności w wyniku powołania w 1940 r. w bliskiej odległości podobozu w Gusen. Przez obóz ten przeszło około 190 tys. więźniów, z tego 100 tys. zginęło. Był to typowy obóz niszczący więźniów przez pracę ponad ludzkie siły, katowskie traktowanie przez dozór i systematyczne niedożywianie, chociaż nie brakowało także elementów masowego uśmiercania w komorach gazowych i przez wstrzykiwanie fenolu. W opinii więźniów zasłużył sobie na miano *Mordhausen*. Wyzwoliła go armia amerykańska 5 maja 1945 r.

Wypowiadając się na temat „dnia powszedniego więźnia” (*Alltag des Häftlings*) musiałem zdać sobie sprawę z tego, że pojęcie to można użyć jako kategorię analityczną, kiedy próbuje się przedstawić ogólne, uniwersalne przesłanki losu typowego więźnia KZ, albo też jako kategorię opisową, która niejako naturalne zastosowanie znajduje w literaturze wspomnieniowej, autobiograficznej. Z metodologicznego punktu widzenia niniejsze opracowanie jest właściwie mieszanką obydwu stanowisk.

W ścisłym tego słowa znaczeniu określenie „dzień powszedni więźnia” oznaczało ciągłe, nieustające starania człowieka o przeżycie, o przetrwanie dosłownie z dnia na dzień, czasem nawet – i to jakże często! – z godziny na godzinę. U permanentnie niedożywionych chodziło przede wszystkim o chleb,

\* Jest to nieco zmieniony tekst referatu wygłoszonego na międzynarodowej konferencji pt. „Das Konzentrationslager Mauthausen”, która odbyła się w Wiedniu w dniach 30 XI – 3 XII 1995 r.



o jego troskliwy i „racjonalny” podział oraz takie wyrafinowane przechowanie, aby nikt ..ie mógł go skraść, chodziło o obiadową rację zupy – żadnej kropelki nie wolno było uronić, chodziło o kumulację siły fizycznej przynajmniej w ilości wystarczającej na samodzielne dojście do placu apelowego, chodziło o zabezpieczenie barłogu do spania, bielizny, ubrania itd. Nigdy określony dzień pospolitego więziarskiego bytowania nie był mniej ważny od poprzedniego lub następnego. W tych rutynowych na pozór monotonnaych działaniach nie było automatyzmu, gdyż więzień wiedział albo przeczuwał, że zawsze gdzieś czyha nieobliczalny i nieprzewidywalny Okrutny Przypadek. Niebezpieczeństwo jego pojawienia się tkwiło potencjalnie w fakcie, że więzień nigdy nie działał na własny rachunek, był zawsze tylko częstką masy, której reakcje nie poddawały się żadnym ustalonym normom czy regułom. Toteż każde skądinąd wydawać by się mogło rutynowe postępowanie mogło okazać się niezwykłym i decydującym o życiu. Specyficzna logika obozowej egzystencji na tym właśnie polegała, że zdarzenia „normalne” urastały nagle do rangi nadzwyczajnych okoliczności, a te z kolei stawały się czymś potocznym.

O samopoczuciu więźnia w obozie decydowały oczywiście przeróżne czynniki, w szczególności jego wiek, stan zdrowia, rodzaj pracy, wcześniejsze doświadczenia życiowe i więziarskie, znajomość języka, przede wszystkim jednak szczęście, czyli przypadek.

Kiedy przybyłem do Mauthausen w lutym 1943 r. miałem już za sobą od 1941 r. siedmiomiesięczny pobyt w więzieniu śledczym *Gestapo* w Kassel, następnie po wyroku (za przygotowanie zdrady stanu!) paromiesięczny pobyt w obozie karnym koło Darmstadt i w końcu w ciężkim więzieniu w Koronowie pod Bydgoszczą. Wydawało się zatem, że mam już niejaki obycie więziarskie i że raczej łatwo przystosuję się do warunków życia obozowego.

Tymczasem zetknięcie z rzeczywistością KZ-owską okazało się również dla mnie szokującym przeżyciem. Przypominam sobie, iż pierwszy taki szok ogarnął mnie na widok ciężko załadowanego wozu ciągniętego nie przez woły lub konie, lecz przez ludzi głośno poganianych przez jednego ze współwięźniów. Nazwa *Kapo* nie była mi jeszcze znana. Już wkrótce miałem się też dowiedzieć, że komando wozaków należało do najkorzystniejszych w obozie.

Cechą szczególną życia więźnia obozu koncentracyjnego była wszechobecność śmierci i konieczność stałego z nią obcowania. Już przy rannym myciu trzeba było torować sobie drogę do kurka z wodą przez porzuconych w umywalni zmarłych nocą nieboszczyków. Zabierało się ich z blokiem na plac apelowy, gdyż liczba „ludzi-numerów” musiała się zgadzać. Każde większe komando przynosiło z sobą po powrocie z pracy zmarłych lub zabitych więźniów, w bloku niemal codziennie wieczorem odbywały się egzekucje pod byle pozorem. Krematorium, zgodnie z tym co zapowiadał w swoim przemówieniu do naszego *Zugangu* komendant obozu, płonęło dzień i noc, wydzielając bez przerwy trupi odór. Majestat umierania i dostojeństwo śmierci stały się



pojęciami zupełnie niezrozumiałymi i obcymi. Pozostał tylko strach przed śmiercią, chęć i wola uniknięcia jej za wszelką cenę albo też w stanie kompletnego „muzułmaństwa” zupełna na nią obojętność.

Tym, co niemal bez reszty przenikało stosunki wzajemne między członkami społeczności obozowej była nienawiść i agresja – można by to też nazwać nienawistną agresywnością albo agresywną nienawiścią. Cała organizacyjna struktura i sens istnienia obozu, w szczególności systemu współzależności między szeroko rozbudowanymi instytucjami władczymi zarówno w wymiarach oficjalnych esesmańskich, to znaczy od komendanta poczynając a na strażniku skończywszy, jak i w wymiarze „samorządowym”, to znaczy od starszego obozu aż do gońca barakowego czy kalifaktora były z góry tak wykocypowane, aby ludzie mogli i musieli wzajemnie złościć się na siebie, źle sobie życzyć, utrudniać sobie nędzne bytowanie, pozbawiać się poczucia bezpieczeństwa.

Przemocnym uczuciem, które miało panować w obozie był zgodnie z założeniami jego twórców strach. Bać powinien się każdy w każdej sytuacji, bać się właściwie wszystkiego – przede wszystkim jednak swego przełożonego. Odnosiło się to zarówno do zwykłych więźniów, jak i do ich przełożonych, jak również do samej kadry esesmańskiej. W obozie od czasu do czasu rozchodziły się satysfakcjonujące wieści o tym, że któregoś z esesmanów w taki czy inny sposób zdegradowano, albo że któryś szczególnie znieawidzony blokowy lub *Kapo* został zlikwidowany. Oczywiście inaczej bronili się i unikali uczucia strachu „starzy” doświadczeni więźniowie, a inaczej członkowie nowych transportów. Dotyczyło to m.in. ciągłych wrzasków, przekleństw, szturchanćców i kopniaków, o których „starzy” na ogół wiedzieli, czy trzeba je ze względu na osobę egzekutora traktować jako poważne ostrzeżenie, czy też jako „pożal się Boże” niegroźny obozowy folklor i odpowiednio do tego obrać właściwą taktykę obronną.

Nawet wśród więźniów obozów koncentracyjnych panuje przekonanie, że zarówno w wymiarze esesmańskim, jak i „więźniarsko-samorządowym” dokonał się proces zbrodniczej selekcji, oczywiście w jakiś sposób świadomie sterowany, ale w zasadzie samorodny, który sprawiał, że do sprawowania odpowiednich funkcji dochodzili sadyści, czyli zwyrodnialcy o zniekształconej trwale patologicznej osobowości. Całkowicie nie wykluczałbym takiej możliwości, że nazistowska koncepcja KZ stwarzała wręcz idealne warunki dla „awansu” typów z natury bestialskich. Wszelako moje własne przeżycia i spostrzeżenia nakazują mi odrzucić tę tezę. Można było bowiem w obozie spotkać osoby z pełną świadomością, z niebotycznym cynizmem walczące o uzyskanie pozycji przywódczej, np. *Kapo* lub starszego bloku z myślą o tym, aby przeżyć i wrócić kiedyś do Polski do swego normalnego wolnego życia. W związku z tym mordowali Rosjan i Ukraińców, ale także Włochów, Jugosłowian i Francuzów, natomiast wyraźnie oszczędzali, a nawet pomagali

Polakom, żeby stworzyć sobie na przyszłość alibi. Wróciłem z Anglii do rodzinnego Ostrowa w 1947 r. i z niebywałym oburzeniem stwierdziłem, że masowy morderca Rosjan, starszy bloku, b. sierżant WP spokojnie sobie żyje, gdyż rzekomo nikt nie mógł zaświadczyć jego zbrodniom. Podobnie rzecz się miała z pewnym *Oberkapo* z Poznania. Nie wierzę, by były to wypadki odosobnione. Stosowały je zresztą także inne narodowości. Na przykład słynny z okrucieństwa *Kapo* hiszpański zwany Napoleonem nie został po wyzwoleniu Gusen 5 maja „normalnie”, tzn. okrutnie uśmiercony, lecz „po ludzku” zasądzony na śmierć przez *ad hoc* stworzony trybunał hiszpańskich więźniów, którymi się opiekował. Podobnie rzecz się miała wśród esesmanów. Pamiętam z czasów pracy na zewnątrz obozu (*große Postenkette*) podoficera SS, niezwykle przystojnego chłopca, który spotykał się ze śliczną, zaiste piękną dziewczyną. Był to zbój okrutny, właśnie z cechami sadyzmu. Gdzieś potem przeczytałem, że został skazany w zbiorowym procesie *SS-Wachmanów* na 5 lat. Może jednak z tamtą dziewczyną zostali małżeństwem? Może mieli również piękne dzieci?

Dla życia codziennego w obozie koncentracyjnym – jak wynika z tego, co poprzednio mówiliśmy – kryterium wartości człowieka nie były żadną miarą jego przymioty moralne i intelektualne. Wręcz przeciwnie: moi koledzy intelektualiści przeżyli często dzięki temu, że mędrkami będąc umiejętnie robili z siebie idiotów.

Życie obozowe doprowadziło do niewiarygodnej wprost deprecjacji inteligencji i nauki: każdy funkcyjny idiota czuł się nie tylko ważniejszy, ale i *eo ipso* mądrzejszy od swojego uczonego, ale spauperyzowanego partnera. Moje obserwacje, niestety, wskazują, że profesorowie byli w defensywie, dawali sobie łatwo narzucić rolę potulnych słuchaczy i oportunistów. Ale czy mogło być inaczej? Stratyfikacja obozowa była po prostu karykaturalnym, kompletnie zmistyfikowanym odwróceniem „normalnych” struktur społecznego znaczenia, prestiżu, moralnej siły przebicia i w ogóle humanistycznego systemu wartości.

W stosunkach międzyludzkich niemal całkowicie zanikło uczucie altruizmu i współczucia zwłaszcza dla chorych. Nawet dla tych, którzy dzięki szczęściu i cudzej pomocy sami odzyskali kondycję, cierpiący na chorobę głodową „muzulmanin”, z trudem poruszający się i ospale reagujący, był uciążliwą przeszkodą, gdyż zwracał uwagę *Kapo*, starszych bloków i *SS-Führerów* na grupę, utrudniał ucieczkę przed biciem, opóźniał zbiórkę itp.

Nie ulega wątpliwości, że w codziennym obozowym bytowaniu dominowały takie uczucia i normy jak terror, brutalność i nieufność, których nie sposób było zaakceptować, ale do których trzeba było się przyzwyczaić. Ale nie znaczy to, iż nie zdarzały się zjawiska i zdarzenia odbiegające od tego ponurego powszedniego obrazu, albo które z niego od czasu do czasu się wyłaniały.



Niezwykle ważną rolę spełniały powiązania ziomkowskie; w wielu wypadkach, jak na przykład moim, decydowały one o losach więźnia. Kiedy przybyłem do Mauthausen, w jakiś momencie, po wielu perturbacjach (rozebranie się, ubranie, oddanie własnych rzeczy, przydział do bloku itp.) usłyszałem głośnie wezwanie: czy jest ktoś z Ostrowa? Zgłosiłem się do tego kogoś: był znanym w moim rodzinnym mieście architektem budowniczym M., on sam nie miał o mnie pojęcia, najnowszych wiadomości przekazać mu nie mogłem, ale jakoś wzruszył go fakt, a był w tym czasie znanym obozowym prominentem, że oto spotyka gimnazjalistę ze swego miasta. Zorientował się szybko, że jestem w stanie niemal agonalnym (zapalenie płuc), stanowczo odradził mi zgłosić chorobę, postarał się o lekarstwo, załatwił ze starszym bloku, aby mnie nie wypędzano „na przewietrzenie”, tylko pozwolono siedzieć przy kominku, podkarmił mnie i załatwił moje przeniesienie po kwarantannie do Gusen, dając trzy adresy do kolegów z poleceniem, aby mnie ratowali. I tak też się stało. Ze stu procentowego „muzułmanina” (40 kg wagi, 4 rozległe flegmony, świerzb, nagminne biegunki i ropne zapalenie opłucnej), zrobili ze mnie dzięki swoim staraniom sprawnego młodzieńca. Mimo że później sam już jakoś sobie radziłem nadal się mną opiekowali, zwłaszcza jeden z nich, Kazimierz Szymański, był mi prawdziwie starszym bratem i pozostał nim długo po wyzwoleniu aż do jego śmierci. Również z kolegą ze wspólnej sądowej sprawy, a po wojnie z jego rodziną zachowaliśmy bliskie przyjacielskie stosunki. Jest rzeczą zrozumiałą, że Ignęli do siebie przede wszystkim ludzie podobnego wieku i wykształcenia. Przyjaźnie między nimi, chociaż przeważnie rozproszyli się później po świecie, przetrwały do dnia dzisiejszego. Mógłbym na ten temat opowiadać godzinami.

Utrzymujące się w obozie przyjaźnie stwarzały namiastkę normalności: istniały koleżeńskie kółka literackie, wokalne, malarskie, nauki języków obcych i inne grupy hobbystyczne, które spotykały się ze sobą w miarę regularnie i dyskutowały o sprawach jakże odległych i różnych od codzienności lagrowej.

„Statystyczny” więzień stosunkowo mało interesował się polityką. Zajmowaliśmy się przede wszystkim sytuacją na froncie, marząc o jak najszybszym zakończeniu wojny. Od moich przyjaciół otrzymywałem dość regularnie informacje o operacjach wojennych, które przekazywałem dalej. Moimi słuchaczami byli m.in. więźniowie rosyjscy i ukraińscy, którzy zwłaszcza od czasu bitwy stalingradzkiej łaknęli stałych optymistycznych wiadomości. Kiedy zdarzało się, że nie dysponowałem najnowszymi danymi Rosjanie prosili: „Władysław mów, czego się domyślasz, co się mogło stać albo powtórz to, co wczoraj opowiadałeś”.

Życie religijne na co dzień faktycznie w obozie nie istniało. Znałem kilku katolickich księży, ale podobnie jak koledzy z mojego kręgu nie utrzymywałem z nimi bliższego kontaktu. Religia nie stanowiła zresztą żywego przedmiotu dyskusji, w każdym razie nie da się porównać z rozważaniami na

temat kuchni, sposobu przyprawiania przez nasze mamy znakomitych dań m.in. z brukwi i szpinaku, którym nas bezustannie karmiono. Powszechna wśród więźniów była niechęć do papieża Piusa XII, któremu zarzucano sprzyjanie Hitlerowi.

Na koniec należałoby powiedzieć coś o tzw. syndromie KZ-owskim, czyli o zmianach psychicznych, które pobyt w obozie spowodował i utrwalił. Jest to temat bardzo trudny, gdyż ogromnie zindywidualizowany. Mnie osobiście ani też żadnemu z moich bliskich przyjaciół po wyzwoleniu obóz nigdy się nie śnił, nie lubię też dyskusji o życiu obozowym. Ale mam kolegów, z którymi w czasie spotkania o niczym innym nie można rozmawiać i którzy twierdzą, że przeżycia obozowe wciąż prześladują ich we śnie. Mamy tu do czynienia z problemem w wymiarze medycznym i ogólnoteoretyczno-psychologicznym chyba nierozstrzygalnym.

#### Literatura

- H. Maršalek, *Die Geschichte des Konzentrationslagers Mauthausen. Dokumentation*. Wien 1995, 3. Auflage.
- Materiały międzynarodowej konferencji naukowej: Das Konzentrationslager Mauthausen 30 XI – 3 XII 1995 r. w Wiedniu, zorganizowanej przez *Institut für Zeitgeschichte* Uniwersytetu Wiedeńskiego.
- KZ-Mauthausen*, „Zeitgeschichte”. September/Oktober 1995, Heft 9/10.
- Vorschläge der Sachverständigenkommission zur Gedenkstätte Konzentrationslager Mauthausen*. Wien, März 1995.